

„Nie mogłam umrzeć jako numer”. 100 urodziny Heleny Majkowskiej „Eli”

data aktualizacji: 2026.08.18 autor: Anna Wójcik-Brzezińska



Helena Majkowska ps. „Ela” pokazuje legitymację kombatancką. Łączniczka i sanitariuszka AK na Mokotowie, była więźniarka niemieckiego obozu koncentracyjnego KL Stutthof i uczestniczka marszu śmierci 18 sierpnia 1944 roku kończy 100 lat. (fot. Anna Wójcik-Brzezińska)

Miała czternaście lat, gdy weszła do konspiracji, i osiemnaście, gdy jako sanitariuszka i łączniczka walczyła na warszawskim Mokotowie. Z kanałów wyszła przy Dworkowej, o krok od egzekucji. Potem był KL Stutthof, numer 101958 i marsz śmierci. - Nie mogłam umrzeć bez nazwiska. Nade wszystko chciałam być człowiekiem - mówi Helena Majkowska.

18 sierpnia kończy sto lat.

Kiedy spotkałyśmy się kilka lat temu, pani Helena przygotowała legitymację kombatancką i odznaczenia. Układała je przed sobą bez ostentacji, ale z dumą. Krzyż Armii Krajowej, Warszawski Krzyż Powstańczy, Krzyż Partyzancki, Krzyż Oświęcimski, Medal Zwycięstwa i Wolności 1945, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Do tego patent Weterana Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny. W lipcu 2024 roku otrzymała awans na porucznika.

- Jestem rocznik dwudziesty szósty, może i piękny, ale sił nie staje - żartowała. - Ruszam się jak

mucha w smole, ale nie dają się. Lekarze mnie komplementują, mówią, że widzieli gorsze przypadki.

Śmiech wracał podczas naszej rozmowy niespodziewanie, również wtedy, gdy opowiadała o sprawach, przy których innym więźłyby słowa. Jakby to ona próbowała pocieszać słuchaczkę.
- Bo ja twarda żyła jestem. Nie poddam się - mówiła.

Do konspiracji poszła przed piętnastymi urodzinami

Helena Kurek - nazwisko Majkowska przyjęła po wojnie - urodziła się 18 sierpnia 1926 roku w Rogowie w powiecie sokołowskim. W 1930 roku przyjechała z matką i rodzeństwem do Skierniewic. Rodzina mieszkała przy ulicy Mickiewicza 36.

W lutym 1941 roku, na kilka miesięcy przed piętnastymi urodzinami, została wprowadzona do struktur Związku Walki Zbrojnej, przemianowanego rok później na Armię Krajową. Wspominała, że zaczęło się niemal przypadkiem: spotkana kobieta poprosiła ją o pomoc przy przewożeniu broni ukrytej na wozie. Pod komendą „Dębicza” przenosiła broń, amunicję, granaty i podziemną prasę, pomagała też opatrywać rannych.

Wojna zabrała jej matkę. Po jej śmierci czworo rodzeństwa zostało właściwie samo. Ojciec ponownie się ożenił, a rodzinę wspierała ciotka. To ona namówiła Helenę, by wyjechała do znajomych w Warszawie. Na początku 1942 roku zamieszkała przy ulicy Ikara 13.

W stolicy ponownie trafiła do podziemia. Przez konspiratorów posługujących się pseudonimami „Marcel” i „Leśniczanka” poznała porucznik Antoninę Kon „Jadwigę”, a następnie podporucznik Magdalenę Grzybowską „Growską”. Została przydzielona do Wojskowej Służby Kobiet V Obwodu „Mokotów” Okręgu Warszawskiego AK. Przeszła szkolenie przygotowujące do służby sanitariuszki i łączniczki, złożyła przysięgę. W konspiracji była „Ela”.

- Do dziś nie wiem, jak naprawdę nazywali się niektórzy ludzie, z którymi szłam na śmierć - mówiła. Tajemnica miała chronić wszystkich. Człowiek znał pseudonim, punkt kontaktowy, najbliższe zadanie. Nie pytał o więcej.

Czy się bała?

- Bałam się jak diabli - przyznawała, wspominając jedną z podróży tramwajem z dwiema torbami granatów. Niemcy zatrzymali dwa pierwsze tramwaje i wyciągnęli z nich pasażerów. Trzeci przepuścili. **- Strach trzeba było przezwyciężyć i robić swoje. Wszyscy byliśmy młodzi. Wtedy przyszło nam bardzo szybko dojrzeć.**

Mokotów: rozkazy, ranni, szpitale

1 sierpnia 1944 roku, w godzinę „W”, osiemnastoletnia „Ela” zgłosiła się zgodnie z przydziałem do Wojskowej Służby Kobiet na Mokotowie. Była łączniczką i sanitariuszką. Przenosiła meldunki oraz broń, prowadziła i transportowała rannych. Służyła w punkcie sanitarnym przy ulicy Woronicza, w szpitalu sióstr elżbietanek przy Goszczyńskiego, w „Alkazarze” przy Odyńca 55 i w budynku ZUS-u przy Puławskiej 130. We wrześniu pracowała również dla kwatermistrzostwa przy Puławskiej 107.

- Niemcy zrzucali bomby zapalające. Ludzie mieli popalone twarze, ręce, nogi. Pani sobie nie wyobraża, co znaczy karmić człowieka, któremu spłonęła twarz – mówiła.

16 września, podczas bombardowania kwatermistrzostwa, została ranna odłamkami w rękę i ogłuszona. Po opatrzeniu wróciła do służby. Nadal pomagała rannym, przenosiła broń i grzebała zabitych, aby ciała nie pozostawały na ulicach.

Gdy opowiadała o powstaniu warszawskim, nie budowała własnego pomnika. Mówiła o zadaniach: zanieść, przynieść, opatrzyć, przeprowadzić, pochować. O czynnościach, które należało wykonać, choć wokół rozpadało się miasto.

Że byłam młoda? Wszyscy byliśmy młodzi. Trzeba było bronić ojczyzny. Człowiek jest nauczony wolności, ma ją w sobie.

Dworkowa. O pół kroku od egzekucji

27 września obrona Mokotowa dogorywała. Helena Majkowska wraz z grupą kobiet zeszła do kanałów, aby przedostać się do Śródmieścia. Trzymały się lin rozpiętych w ciemności. Niemcy wrzucali do kanałów granaty i środki chemiczne, podnosili poziom ścieków. W wodzie leżały ciała tych, którzy nie zdołali przejść.

- Ciemność, woda, szczury, gaz. Człowiek pilnował cienia przed sobą, żeby się nie zgubić – wspominała.

Droga do Śródmieścia była odcięta. Grupa zawróciła i wyszła włazem przy ulicy Dworkowej, już na terenie opanowanym przez Niemców. Tego dnia przy Dworkowej zamordowano około 140 wziętych do niewoli powstańców. Ludzie z grupy Heleny widzieli przygotowywany karabin maszynowy. Kazano im leżeć z rękami wyciągniętymi przed siebie. Czekali trzy godziny, przekonani, że za chwilę zostaną rozstrzelani.

- Każdy się przed śmiercią pomodlił – mówiła.

Egzekucję tej grupy powstrzymał starszy rangą niemiecki oficer. Po długiej kłótni nakazał podnieść zatrzymanych. Helenę i jej towarzyszkę popędzono do Fortu Mokotowskiego, a następnie pieszo do obozu przejściowego Dulag 121 w Pruszkowie.

Przeżyły Dworkową. Nie potraktowano ich jednak jak jeńców wojennych. Czterdzieści łączniczek i sanitariuszek, w większości żołnerek AK walczących na Mokotowie, zostało 29 września 1944 roku deportowanych do niemieckiego obozu koncentracyjnego KL Stutthof. Historia tej grupy została później opisana pod nazwą „Kobiety pistolety”. Najmłodsza miała czternaście lat, najstarsza dwadzieścia osiem.

101958

Do Stutthofu dotarły po całodziennej podróży w zamkniętym wagonie. Była noc. Przy wysiadaniu czekali esesmani z psami. Padały komendy: „Schnell!”, „Raus!”. Więźniarki bito pejciami. Helena

dostała w głowę.

- **Nie pamiętam bólu** - powiedziała. W jej opowieści pozostał za to dźwięk komend.

Odebrano jej nazwisko. W obozie Helena Kurek stała się numerem 101958. Taki, sześciocyfrowy numer potwierdza dokumentacja Muzeum Powstania Warszawskiego.

Początkowo czterdzieści kobiet trzymano razem, stłoczonych w niewielkim pomieszczeniu. Później trafiły do bloku 27. Spały po trzy na jednej pryczy. Co noc inna kładła się w nogach dwóch pozostałych - tak dzieliły między siebie niewygodę, bo tylko tyle mogły rozdzielić sprawiedliwie.

Rano dostawały czarną lurę i kromkę chleba. Zupa była wodą z nieobranymi burakami, marchwią albo brukwią. Pracowały najpierw w obozowej kartoflarni, później kierowano je do cięższych robót. Choroby - tyfus plamisty i brzuszny, owrzodzenia, malaria - rozchodziły się po barakach. Wszy, jak mówiła Helena, „chodziły po człowieku jak muchy”.

Z bloku 27 widziała kobiety żydowskie pędzone do baraku śmierci i wózki wywożące ciała. Czuła odór palonych zwłok. Obóz, który działał od 2 września 1939 do 9 maja 1945 roku, pochłonął około 65 tysięcy ofiar. Więziono w nim blisko 110 tysięcy ludzi z 28 państw.

Wspomnienie obozu sprowadzała niekiedy do jednego smaku.

- **Marzyłam, żeby chociaż polizać plasterek margaryny. To było wtedy szczęście.**

Śnieg zamiast jedzenia

25 stycznia 1945 roku Niemcy rozpoczęli pieszą ewakuację obozu. Z obozu głównego wyprowadzono około 11 tysięcy więźniów, a z całego systemu KL Stutthof - blisko 33 tysiące. Kolumny szły w mrozie, przy niedostatku żywności i odzieży. Ta wędrówka przeszła do historii jako marsz śmierci.

Helena szła w drewniakach, z odmrożonymi palcami. Według jej relacji kolumna pokonywała nawet trzydzieści kilometrów dziennie. Po krótkim odpoczynku w kościele albo stodole znów padała komenda wymarszu. Gdy strażnik nie patrzył, więźniowie zgarniali z drogi śnieg i wkładali go do ust.

- **Pragnęłam śmierci. Chciałam zostać w zaspie jak ci, którzy już nie wytrzymywali** - wspominała. - **Przy życiu trzymała mnie jedna myśl: nie mam nazwiska, jestem numerem. Nie mogłam umrzeć bez nazwiska. Nade wszystko chciałam być człowiekiem.**

Jedna ze współwięźniarek, zapamiętana przez Helenę jako starsza Niemka osadzona z powodów politycznych, chwyciła ją za rękę, gdy słabła.

- **Chodź, dziewczyno. Nie pora umierać. Idziemy** - powtarzała.

Kolumna dotarła w rejon Bolszewa pod Wejherowem. Ludzie byli skrajnie wyczerpani, wielu miało odmrożone i gnijące stopy. Kiedy zbliżała się Armia Czerwona, strażniczki i niemiecka załoga uciekły. Po odzyskaniu wolności radzieccy lekarze przestrzegali ocalałych, by nie rzucali się na tłuste jedzenie. Wygłodzony organizm nie umiał go już przyjąć. Helenę karmiono kaszą, mlekiem i podawano jej mocny napar z mięty.

Kilka dekad później widok pielgrzymów wchodzących na Jasną Górę przywołał marsz tak gwałtownie, że musiała odwrócić wzrok.

- Nie mogłam powstrzymać płaczu. Rozdzierało mnie w środku. Ci ludzie przypomnieli mi nasz marsz, ten moment, kiedy bardzo chciałam umrzeć.

Powrót do nazwiska

Po kwarantannie w Wejherowie wracała koleją. Wsiadła w Zielkowicach, dotarła do Łowicza, a stamtąd do Skierniewic. W maju 1945 roku znów stanęła przed domem. Ciotka przybiegła z pola, gdy dowiedziała się, że Helena żyje.

Do zdrowia dochodziła dwa lata pod opieką Polskiego Czerwonego Krzyża. Miała poważne zmiany w płucach i zaniki pamięci. Później ukończyła szkołę średnią w Legnicy. Pracowała przy opiece nad chorymi, w PCK i w służbie zdrowia. Została w Skierniewicach.

Przez lata nie umiała opowiadać. Pamięć urywała obrazy albo oddawała je nagle, z całą ostrością. Gdy podczas naszej rozmowy wracała do Stutthofu, pogodna twarz na chwilę tężała.

- To wraca - powiedziała.

A potem znów się uśmiechnęła i zaczęła wyliczać odznaczenia. Jakby chciała dopowiedzieć, że ostatecznie nie została numerem. Ma imię, nazwisko, stopień wojskowy i własną historię.

- Teraz mam cel: sto lat muszę skończyć! - oznajmiła mi kilka lat temu.

18 sierpnia 2026 roku porucznik Helena Majkowska „Ela” kończy sto lat. „Twarda żyła” dotrzymała obietnicy złożonej samej sobie.

Szanowna Pani Porucznik, Droga Pani Heleno,

„Człowiek jest nauczony wolności, ma ją w sobie” - powiedziała Pani kiedyś. W Pani ustach zdanie to nie jest sentencją, lecz najkrótszą opowieścią o całym życiu: odważnym, wiernym i nieskłonny do kapitulacji.

Z okazji setnych urodzin życzymy Pani przede wszystkim zdrowia, spokoju oraz codziennej czułości. Niech zawsze otaczają Panią ludzie, przy których dobrze jest rozmawiać, wspominać, milczeć i śmiać się. Niech każdy następny dzień przynosi Pani pewność, że dobro, którego Pani broniła, przetrwało - w wolności, w pamięci i w kolejnych pokoleniach.

Dziękujemy za Pani służbę, świadectwo i lekcję odwagi, która nie potrzebuje wielkich słów. Dziękujemy również za uśmiech

„twardej żyły” - za pogodę ducha silniejszą od doświadczeń, które miały odebrać człowiekowi nadzieję, imię i godność.

Niech trwa Pani z nami jak najdłużej - otoczona miłością, najgłębszym szacunkiem i wdzięcznością.

Wszystkiego, co dobre, Pani Heleno.

Źródło: <https://eglos.pl/aktualnosci/item/45669-nie-moglam-umrzec-jako-numer-100-urodziny-heleny-majkowskiej-eli>